

268  
ZYGMUNT GRĘN

# KALIGULA, CZYLI GRA

Nie miała szczęścia ta sztuka w polskim teatrze. Przetłumaczona znakomicie piórem Wojciecha Natanson'a i drukowana we fragmentach po raz pierwszy przed piętnastu laty, pełnego druku i realizacji doczekała się dopiero przed laty sześciu. I minęła niemal bez wrażenia, bez wyraźnego pokwitowania, zagrała w prowincjonalnym teatrze, bez reklamy, a zapewne także — bez zrozumienia. A równocześnie od czasu do czasu wracała, w rozmowach, w publicystyce, ale wracała jako mit, groźny, ciemny, okrutny. „Kaligula” Camusa. Nie wymawiało się tego ani z czcią ani z pogardą lecz z lękiem. Nieliczni czytelnicy i widzowie jak gdyby wyczuwali, że tutaj pisarz przekroczył granicę uprawianego przez siebie zawodu i niepisanych uprawnień. A przekroczył nie w materii samej swojego dzieła, lecz w jej potraktowaniu, ten chłód, ta zimna, logistyczna formuła zbrodni wydawała się po prostu nieludzka. „Gdzież „Dżumie” równać się z „Kaligulą”. Bohaterem powieści jest zaraza i jakkolwiek można ją traktować metaforycznie jako stan obłączenia niemieckiego podczas ostatniej wojny — zaraza jest elementem losu człowieka zżytem już z nim niejako, od stuleci, wywołującym mniej lub bardziej bezsilny protest, dalekim wszakże od rozpaczliwego zakwestionowania samego sensu człowieczeństwa.

O „Kaliguli” Camusa warto pamiętać, że został napisany podczas wojny. I właściwie teatry nasze powinny były porwać tę sztukę natychmiast, niewiele było wówczas utworów dramatycznych dotykających najgłębszej istoty zbrodni hi-

steryzmu. A jednak właśnie u nas lękano się tego. Czy byliśmy zbyt pogruhotani wewnętrznie, zbyt namiętnie byliśmy jeszcze w to wszystko wplątani, by spojrzeć w przeszłość zimno i potraktować ją jak abstrakcyjny rachunek? Mówiąc o obozach nie wychodziło się wówczas poza wzniosły protest humanizmu, jeden Borowski napisał opowiadania cyniczne, bo cynizm może być główną formą samoobrony osaczonego człowieka. Dopiero po wielu latach odnalazłem w naszych książkach także stronicę inną. W „Końcu naszego świata” Tadeusza Hołuj'a, w drukowanym przed dwoma laty w „Twórczości” fragmencie powieści obozowej „Trzeba głęboko oddychać”. Były to stronicę dlatego wstrząsające, że mówiły także o ludziach, którzy przyjmowali zasady gry. To nie był już ratunek polegający na pokątnym handlu obozowym, oszukiwaniu Niemców przy kotle z zupą, na cynicznym wypinaniu się na nich, skoro oni chcą być tacy groźni — byle przetrwać i przeżyć. Rachunek był także inny. Ludzie giną w obozie i będą ginąć. Trzeba próbować ocalenia — nie statystycznego jednak lecz, by tak powiedzieć, rozumowego. Trzeba dokonywać wyboru. O życie, o te resztki życia walczą wszyscy. Ale niektórym z nich trzeba pomóc w tej wal-

ce. I cena nie będzie już nic znaczyła, ponieważ władcy obozu nie liczyli się z żadną ceną. A więc nie po to, żeby przetrwać, ale po to, aby zwyciężyć, trzeba także, ich śladem, odrzucić wszelkie kryterium ceny. Czekaliśmy wiele lat, aby w literaturze polskiej pojawiły się te okrutne stronicę. Myślę, że z tych samych powodów psychologicznych tyle lat musieliśmy czekać na premierę „Kaliguli”.

Bo „Kaligula” jest sztuką właśnie o tym zjawisku psychologicznym: o przyjmowaniu reguł gry. O świadomym wybieraniu maski dla swego człowieczeństwa i o równie świadomym narzucaniu tej maski innym. Myślę zresztą, że można także tę sztukę sprymitywizować i mówić raz jeszcze o problemie władzy: cesarz i jego poddani, ale byłaby to powtórka banalna i na pewno nie leżąca w intencjach autora. Dodam więc od razu, że krakowskie przedstawienie „Kaliguli” w Starym Teatrze wyreżyserowane przez Lidę Zamkową tej banalności uniknęło i sięgnęło istotnych problemów dramatu.

Kaligula po śmierci kochanki swojej popada w szaleństwo, ale szaleństwo to wkrótce staje się maską. Jest wszechwładnym cesarzem, ale śmierć, los człowieka okazał się potężniejszy od niego. Staje się więc cyniczny i drwi ze swych dworaków. Gdy wraca po nocach spędzonych na samotnej, bolesnej wędrowce, powiada im, że szukał księżycy, bo przecież jest wszechwładny, a więc i księżycę winien mu być posłuszny. Dworacy szepczą o jego szaleństwie, lecz gdy zjawia się wśród nich, jego słowa traktują z pokorą, nie drą ich, nie niszczą, jak należałoby postąpić z fałszywymi banknotami, którymi cesarz im się wypłaca. I nagle Kaligula, człowiek słaby, wrażliwy na piękno, poezję i miłość, widzi siebie zepchniętym do roli małego despoty, płaskiego tyrana dworskiej kamaryli. On, który

chciałby mówić o niesprawiedliwości świata, losu, o tym, co każdego zawsze w pewnym momencie dotknie i znieważy; o śmierci — spotrząga nagle swoją samotność, bo ludzie otaczający go drżą przed nim, nie przyjmują do wiadomości jego słabości, na jego widok przywdziewają maskę pokory i posłuszeństwa. Więc on, który chciałby, być może, wśród najbliższych sobie ludzi dać wolę rozpaczy, czuje się odepchnięty, znieważony wśród tych zimnych masek dworskiego ceremoniału. Nie, Kaligula Camusa nie narzuca ludziom masek, nie zmusza ich do niczego, on sam w pewnym momencie zostaje wplątany w tę grę bez sensu, nieludzka. Przerazony jest swym losem i daremnym zmaganiem ze śmiercią jak mały więzień obozowy. Ale pewnego dnia ten więzień zostaje mianowany kapo. Jest przerazony nadal, ale nagle spotrząga, że na jego widok drżą stokroć bardziej inni więźniowie. I nie ma i nie może już być między nimi porozumienia. Oni nie dadzą wiary żadnemu jego uczuciu ludzkiemu. Został wciągnięty w grę i widzi, że jest skazany. I właśnie „Kaligula” jest dla mnie taką sztuką o „awansie” człowieka na zbrodniarza. Sztuką okrutną i dla nas w roku 1944 niemalże niepojętą. Ale Camus ją pisał we Francji Pétaine'a i Laval'a. Nie pisał jej zresztą dla nich. Żadnego dzieła literackiego nie pisze się „dla kogoś”. Ale pewną sytuację ludzką mógł zobaczyć nadzwyczaj ostro. Tak ostro, że jej pokazanie po dziś dzień nas osiępia.

Na początku przedstawienia Lidii Zamkowej dworacy występują bez masek. Gdy opętany Kaligula niszczy ich i łamie, twarze ich przybierają szarą maskę śmiertelną. Nie wiem, w jakim stopniu zamierzona była ta wielka ironia reżysera i scenografów (Lidia Mintcz i Jerzy Skarżyński). Przecież Kaligula mordując senatorów, odbierając im żony — stawia w tym właśnie mo-

mencie te martwe kukły wobec próby człowieczeństwa. Wtedy z ich twarzy powinna opaść wreszcie maska. Prawda, że nie opada. Nawet śmierć zostaje mu zadana martwymi rękami.

Ale mimo wszystko jest w tej sztuce coś optymistycznego. Kaligula do końca boi się, igrając najokrutniej, i umiera w lęku człowieczym. Ta sztuka stawia wielkie retoryczne pytanie o godność człowieka — i odpowiada. Ale odpowiedź jej jest dialektyczna i trudna. Ta godność budzi się i w trupich maskach, gdy sięgają po sztylety, by zgładzić zbrodniarza — i w zbrodniarzu, który umiera w najbardziej ludzkim lęku. Ta godność jest zawsze w człowieku, tyle że musi umieć ją w sobie wyzwoić.

Przedstawienie krakowskie działa oczyszczająco, jak lektura „Zbrodni i kary”. Powiedzieć o zbrodniarzu, to znaczy wywołać się z kompleksu, który trawi każdego człowieka. Zamkowa zinstrumetowała wszystkie środki teatralne, aby do tego wstrząsu doprowadzić, zrobiła to z taktem, smakiem, i tą okrutną sztuką nigdy nie wywołała obrzydzenia. Świetną scenografię zaprojektowali Skarżyński. Leszek Herdegen jako Kaligula dał jedną z najlepszych swych ról, czułą, subtelną i zachował tę konieczną dla zrozumienia sztuki miękkość w okrucieństwie. Sama Zamkowa zagrała wierną mu Cezonię ekspresyjnie, jak zwykle, ale z ogromną dozą drapieżnego wdzięku. Mądrym partnerem Kaliguli był Kazimierz Witkiewicz jako Cherea.

To przedstawienie zamykające sezon na scenie kameralnej stało się najlepszą jego pozycją. (W ogóle Stary Teatr finiszował w tym roku znakomicie.) Uniknęło czających się wokół tej bardzo retorycznej sztuki prymitywizmów. Pozwalało wejrzeć głębiej w to, co w sposób trochę historyczny nazywa się dolą człowieczą. Pokazało mechanizm psychologiczny zbrodni zaczajonej w człowieku. Tej, której pamięć nie zdołała jeszcze przemazać w ciągu 20-tu lat. I tej, za którą każdy może stać się odpowiedzialny nawet w wypadku ulicznym. Tej, której przeciwstawia się cała praca naszego mijającego dwudziestolecia.

ZYGMUNT GRĘN